***Wystąpienie prof. Ewy Bogackiej-Kisiel:***

Moje wystąpienie będzie krótkie. Myślę, że takie powinno być, bo Marek Łyszczak nie lubił długo mówić. Jego wystąpienia były jakby szkicem problemów, które omawiał. Miał dar zwięzłości.

Wspominając Marka Łyszczaka myślę o Nim, jak wszyscy, jako o osobie, która bez reszty poświęciła się działalności (a lepiej byłoby powiedzieć – służbie) na rzecz Uczelni, które Go ukształtowała. Bardziej jednak myślę o Nim jako o osobie obdarzonej szczególną osobowością. W dużej mierze zawdzięczał ją rodzinie, w której się wychował. Dane mi było poznać Jego rodziców i do dzisiaj wspominam ich z szacunkiem.

Marek Łyszczak był kierownikiem Katedry Finansów od 1996 roku. Był następcą i ulubionym uczniem profesora Józefa Kalety – promotora Jego pracy magisterskiej i doktorskiej. Kontynuował i rozwijał dzieło swego mistrza przez niemal 20 lat. To cała epoka, a dla wielu młodszych pracowników cała ich droga zawodowa. Nie mieli innego szefa, nie widzą, jak różni mogą być szefowie. Myślę, że mieli szczęście.

Wszyscy nazywaliśmy Go szefem. Wielu spośród nas tak się do niego zwracało, najmłodsi nie mieli jeszcze śmiałości, mówili „panie profesorze”, ale pozostali zwracali się „Szefie” albo „Mistrzu”. Było w tym stylu zwracania się trochę poufałości, trochę respektu, ale i trochę łagodnej ironii. Bo taki był Marek – jego poczucie humoru było szczególnej klasy. Bywał lekko ironiczny, ale nie kłuł tą ironią. Jego humor przypominał bardzie Kabaret Starszych Panów niż dzisiejsze kabaretony. Nie wolno nam więc wspominać Go bez szczypty humoru. To był ważny element Jego osobowości i sposobu, w jaki odnosił się do ludzi.

We wszystkich chyba o Nim wspomnieniach pojawią się też określenia „ciepły” czy „życzliwi”. Umiał wysłuchać i nie zawsze od razu komentował. Pozostawiał sobie i rozmówcy czas do namysłu. Gdyby skalę gwałtowności ludzi określać miarą liczbową, plasowałby się w pobliży zera. Ten spokój był Jego znakiem firmowym. Nie wiem, czy owa łagodność pociągała za sobą jakieś koszty wewnętrzne, nie dało się ich nigdy odczuć. Trudno sobie jednak wyobrazić, że ponosząc odpowiedzialność za tak wiele skomplikowanych spraw, nie przeżywał rozterek i nie płacił za to swojej ceny.

Jako szef, jako kierownik Katedry, przyjął szczególną i nieczęsto spotykaną postawę. Robiąc porównanie do pewnych procedur medycznych – był nieinwazyjny. Nigdy nie stwarzał wrażenia, że śledzi, że kontroluje kogokolwiek. Jego podwładni mieli do niego łatwy i bezproblemowy dostęp, ale to oni musieli Go poszukać. Gdy jednak Go znaleźli, nie czuli w rozmowie skrępowania.

Marek Łyszczak troszczył się o całość Katedry i o każdego z osobna. Troszczył się mądrze, rozważnie, niepodatny na ulotne trendy, nerwowe decyzje, szał reform. Kiedyś, przed laty, o premierze Mazowieckim mówiono: siła spokoju. Marek Łyszczak też miał tę siłę spokoju. Nietrudno odgadnąć, z czego się ona brała. Jeżeli racje są słuszne, jeżeli odpowiedzialnie podejmując decyzje myśli się o innych, a własny krótkowzroczny interes nie przysłania spraw naprawdę ważnych, nie trzeba drżeć ze strachu i udawać kogoś innego. Jako sternik Marek Łyszczak był spokojny, odpowiedzialny – i za załogę, i za pasażerów. Niestety, nagle i przedwcześnie zszedł z mostka kapitańskiego. Będziemy musieli sami stać się czujni, ostrożni, przewidujący, planujący, rozważni. Już na nie wyręczy.

Żal mi osieroconej Katedry, Jego uczniów, Jego studentów, żal mi całej Uczelni, której tak nagle tak wiele ubyło. Żal mi siebie, bo był moim przyjacielem.